

# Narodowe misterium pilnie potrzebne

To mogło być widowisko rozliczające polskie mity romantyczne i narodowe. Okazało się współczesną bajką

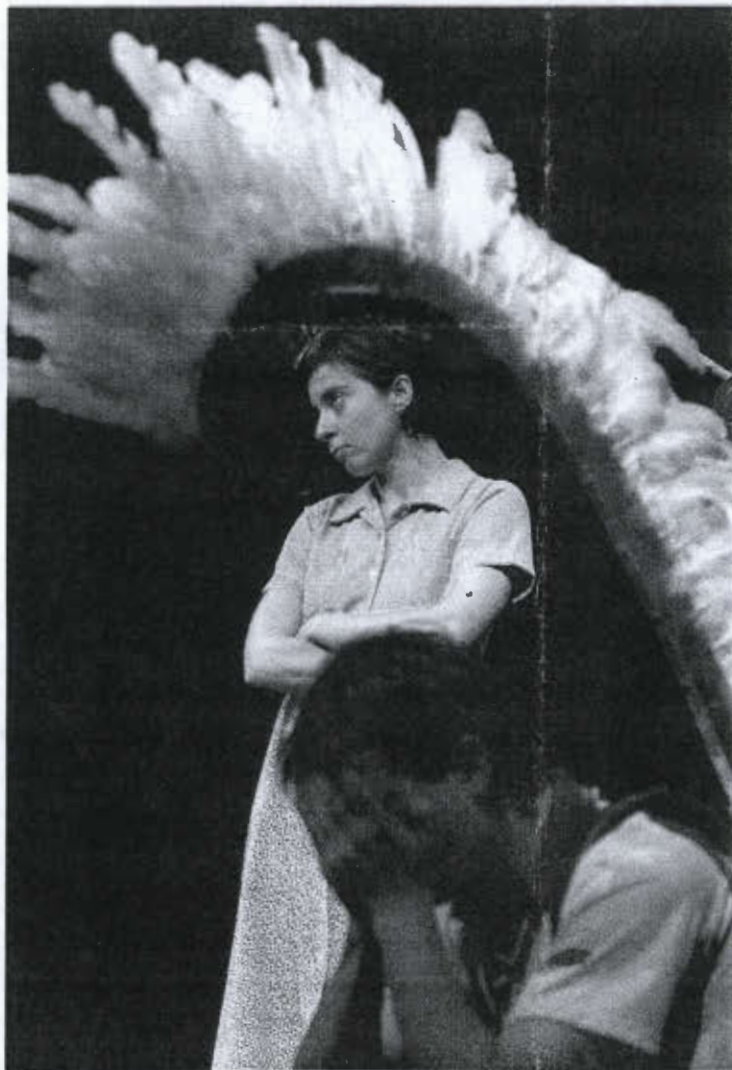
## SPEKTAKL

**JULIUSZ SŁOWACKI „BALLADYNA”**  
REŻ. KRYSZYNA MEISSNER  
scen. Mirek Kaczmarek,  
premiera 24 czerwca,  
Teatr Współczesny we Wrocławiu

**JOANNA DERKACZEW**  
WROCLAW

W jakiej sytuacji politycznej opowieść o przywódcy niegodnym stanowiska i władzy sprawowanej „bez woli ludu” mogłaby trafić na scenę z dosłownymi odniesieniami do faktów i nazwisk? Kiedy i gdzie autor odważyłby się sztychować z pierwotnej czystości polskiego serca albo cnoty i mądrości prostego ludu? Z pewnością nie w 1834 roku, nie w kraju osłabłym, kalekim, upokorzonym po powstaniu listopadowym.

Ale pisząc „Balladynę”, najbardziej zjadliwą satyrę na polski romantyzm i polskie mity narodowe, Juliusz Słowacki nie myślał wcale o polskich teatrach. Dwudziestoparoletni wieszcz podczas pobytu w Paryżu był stałym widzkiem melodramatów, oper i feerii Cyrku Olimpijskiego, gdzie królowały sylfidy, baletnice, latające wróżki. Do tych warunków przystosował swój dramat, stawiając inscenizatorom zadania skromne i realistyczne. Barwne kostiumy, trochę lotów i kilkanaście zmian dekoracji to wymogi nieprzekraczające możliwości przeciętnego teatryku z Boulevard du Temple. Ale łatwość wystawienia w stylu „a la cirque francais” to jednocześnie naj-



Chłopak w piłkarskiej koszulce (Piotr Łukaszczuk) dostaje husarskie skrzydła i przelstacza się w grafa Kirkora

większy problem „Balladyny”. Bo jak w natłoku rozerotyzowanych duszków, legend i zjawisk nadprzyrodzonych miałyby przetrwać błyskotliwe parodie Shakespeare’a, aluzje do Ariosta, a przede wszystkim – polityczna dosadność? W tę pulapkę Słowacki wpędzał konsekwentnie najwybitniejszych reżyserów, przez co jeden z najbardziej krwawych i pesymistycznych tekstów wieszca nadal kojarzony jest z bajką o leśnych skrzatach.

Nawet po słynnej realizacji Adama Hanuszkiewicza (1974 rok, Teatr Narodowy) pozostało raczej wspomnienie cyrkowych efektów i hony, a nie rachunków z polską historią.

Tymczasem potrzeba narodowego widowiska ciągle wzrasta. Zwłaszcza odkąd polska reprezentacja piłkarska nie walczy już o honor ojczyzny, ale śledzi mundialowe rozgrywki na ekranach telewizorów. Krystyna Meissner, dyrektor Teatru Współczesnego we Wrocławiu, próbowała zrekomensować ten brak, zmieniając „Balladynę” w rozliczeniowe misterium. Na pustą scenę wprowadziła tłum aktorów, którzy reprezentują przekrój społeczny narodu; przekrój przerysowany i sztampowy jak na obrazku z elementarza. Jest dziewiczę w stroju ludowym, jest menel i urzędnik, szacowna staruszka i dorodna młodzież. Ksiądz w słuchawkach (Bogusław Kierek) staje się dla nich przewodnikiem chóru czy guslarzem sprawującym obrzęd. Pod jego wpływem przypadkowy tłum zaczyna przybierać role postaci z dramatu. Polacy sami między sobą mają rozliczyć się za dopuszczenie do władzy ludzi niegodnych, nieodpowiedzialnych i nieczystych zachowania „gminu” i inteligencji. Chłopak

w piłkarskiej koszulce (Piotr Łukaszczuk) dostanie szelki husarskie z oberwanym skrzydłem – będzie grafem Kirkorem. Brudny bezdomny (Zdzisław Kuźniar) wcieli się w zamieszkuje go na kawałku dyktu pustelnika Popieła, a dziewczyną w dzinsowych kieckach w Alinę (Anna Filusz) i Balladynę (Dorota Abbe). Tak mógłby wyglądać zbiorowy trans w świątyni hinduskiej, gdy duchy bóstw i przodków wstępują w obrzędników. Tak mogłoby wyglądać gusła z „Dziadów”.

Meissner pamięta jednak inne narodowe ceremonie. Spektakl chwilami przypomina więc akademię pierwszomajową w przedszkolu, chwilami jedno z widowisk muzycznych jak „Koleśda-Nocka” czy „Szalona lokomotywa”. Podniosłe pieśni i mowa ojców w wykonaniu tandetnie ubranych artystów to także jakiś odblysk ostatniej sceny z „Misia”, gdy o tradycji bajają robotnicy w waciakach. Nawiązania piętują się i zapętłają. Uczta na zamku okazuje się wstępem do chocholego tańca, pojawienie się Goplany (Irena Rybicka) zmienia się w piknik z balonikami. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że oglądamy spektakl bardzo polityczny, ale komentujący jakąś niedająca się zidentyfikować rzeczywistość. Co z tego, że Dorota Abbe świetnie wypada jako schizofreniczka o pustym śmiechu i nieskoordynowanych ruchach? Jakże znaczenie dla diagnozy Polski dawnej czy współczesnej ma to, że piorun porazi zbrodniarkę wariatkę? Gdy czerwone sukno ścian zamku opada, a w oczy widzów zamiast pioruna bije światło reflektora, aktorzy zostają na scenie ze słowami: „Polsko ty moja (...) wspomnij ty o nas!”. Misterium okazuje się jednak akademią, a „Słowacki wielkim poetą był”.